



Eliza Orzeszkowa  
(1841 — 1910)

## ***Oblicze matki (1899)***

Wydźmy z miasta, w którym niebo zasłonięte jest przez dym i wyziewy, ziemia okryta brukiem, a ogień tylko przez gaz zasilany, i pójdźmy popatrzeć na przyrodę, taką, jaką jest ona u siebie w domu, przez nikogo nie kaleczona i nie przekształcana. Tu zapytajmy: dlaczego firmament powleczone chmurami budzi w nas zwątpienie i zniechęcenie, a wolne od chmur błękity energię i odwagę? Dlaczego z dwu błoni, które posiadają jednostajny skład chemiczny, jednostajną zdolność produkowania, a dla oczu agronoma, ekonomisty, poborcy podatków są zupełnie do siebie podobne, jedno płaskie i z roślinnością prawidłowo uporządkowaną kroków naszych nie zwalnia ani wzroku nie przykuwa, drugie zaś, wzgórzyste i okryte trawami, wikłającymi się bujnie i swobodnie, daje nam zapomnienie o szarych powszedniościach życia, sprawia, że rańniejsi, pogodniejsi, duchowo ukojeni, wracamy do domu?... Skąd pochodzi przyjemność, którą sprawia szybki, świetny lot skrzydeł różnobarwnych, na nic nam jednak niepotrzebnych i wszystkimi barwami swymi nie przynoszących takiego użytku, jaki otrzymujemy z szarych i brzydkich tkanek ptasiego mięsiva?

Odpowiedź na wszystkie te zapytania mieści się w tym, że obok rozumu, który za pomocą rozbiórów i doświadczeń bada przyrodę, istnieje w człowieku potęga, która spomiędzy wszystkich potęg jest najpoetyczniejszą i spomiędzy wszystkich wyrabia- czy sił najwszechmocniejszą, której brak jest najprawdziwszą ze śmierci i najdzielniejszym z rozprzegaczy wszelkich rzeczy, z której wezbrania powstają cuda sztuki, ofiary, bohaterstwa i której na imię — uczucie. Wrażenia otrzymywane z widoków przyrody powtarzając się i odpowiedniemu kierunkowi podlegając, wytwarzają uczucia zachwyty, uwielbienia, przywiązania. Ktokolwiek węzłami uczuciowymi zawczasu łączy się z przyrodą, kocha ją; ktokolwiek węzłami tymi łączy się z przyrodą ziemi rodzinnej, kocha — oblicze matki.

Takie bezinteresowne przywiązanie do przyrody, zachwyty i uwielbienie wobec jej zjawisk posiadać może pośród istot żyjących tylko — człowiek.

— Czy widzisz — zapytuje Ruskin — tę roślinę delikatną i wysmukłą, z mnóstwem wygięć misternych i z całą melodią barw. Przypełza do niej istota jakaś, zerwała ją i pożarła. Co to była za istota?

— Nie wiem, jak się nazywa, lecz czyn jej był wynikiem ślepego popędu.

— Przyszła druga i także ją zerwała, lecz zamiast pożreć natychmiast, zakopała w pobliżu na zapas dla przyszłości. Kim była ta druga istota?

— Nie wiem, ale czyn jej powstał na granicy, u której rozpoczyna się państwo rozumu.

— Przyszła trzecia i długo stojąc przed rośliną, przyglądała się jej z podziwem i zachwytem. Jak się nazywa ta trzecia istota!

— Tej imię jest mi znane. Był to człowiek.

Więc trzy są sposoby zachowania się istot żyjących wobec przyrody: 1) ślepe i natychmiastowe zaspakajanie jej tworamii potrzeb cielesnych; 2) przemysłne i wstrzeźmięzliwe chronienie tych tworów, dla zabezpieczenia przyszłości od udręczeń niedostatku; 3) rozważające, uwielbiające przyglądanie się tym twórcom i łączenie się z nimi węzłem miłości.

Ostatni ten stosunek z przyrodą tylko człowiekowi jest dostępny. Tylko on umie wysysać słodycz z takich zjawisk natury, które dla życia jego ciała żadnej nie posiadają wagi; tylko on zdolny jest uczuwać się zachwyconym, rozrzuwionym, ukojonym, rozkochanym wobec skał, których nie może zasiać, blasków, których nie może dotknąć. Rozum ludzki, w stosunku do przyrody, jest dalszym ciągiem zmyślności zwierzęcej. Pierwszym początkiem śpichrzów napełnionych zbożem, mają być dziuple drzew, w których wiewiórki zbierają na zimę zapas orzechów; do tunelów przebitych w skałach albo fabryk sposobami chemicznymi wyrabiających żywność podobne są gniazdzka jaskółcze, wydrążone w nadrzecznych brzegach, i narządy, którymi pszczoły dobywają miód z korony kwiatu. Ale tylko człowiek mocą uczucia, obudzonego w nim przez przyrodę, czyni te cuda, którymi są dzieła sztuki. Tylko wśród ludzi istnieje ten, który nosząc nazwę poety albo artysty jest najbogatszym zbiornikiem tego uczucia i tłumacząc je za pomocą słów albo barw i linii rozkazuje kroplom rosy, aby nie wysychały, tęczom, aby nie zniknęły, kwiatom, aby nie więdły nigdy, uzmysławia duszę rzeczy i wśród powszechnego ich przemijania nieśmiertelnie te, które pokochał. Jak w baśniach miłość bogów, tak w rzeczywistości miłość poetów i artystów posiada cudowny dar przemieniania znikomości w nieśmiertelność.

Tylko człowiek — ale czy każdy? Wcale nie. Jest przysłowie francuskie: *Le chat regarde l'évêque, mais est-ce que le chat voit l'évêque?* (Kot patrzy na biskupa, ale czy widzi biskupa?). Nie o wszystkich, którzy patrzą na przyrodę, powiedzieć można, że ją widzą. Nie widzą jej często ci nawet, którzy najwięcej o niej wiedzą. Usposabianie do widzenia przyrody i otrzymywanie od niej całego rzędu odpowiednich wrażeń, wprowadzanie w stan czynny tej zdolności, której pierwiastki spoczywają na dnie istoty ludzkiej, należy do zadań wychowawczych najwyższego rzędu, zarówno jak

do tych, które spełnianymi są najrzadziej — jeżeli nawet kiedykolwiek są spełnianymi. Daremnie by w tym wypadku wymawiać imię: szkoła. Tą stroną ludzkiego życia nie zajmuje się ona ani tu, ani nigdzie. „W szkole — pisze Ruskin — wszyscy poddają rozbiorowi właściwości rzeczy najrozmaitsze i wszyscy omijają tę tylko właściwość najwyższą, która jest łącznikiem i spójnią wszechrzeczy, mianowicie: moc wrażeń i pociągów... Istnieją systemy rozumowań, wyjaśniające wszystko, co jest na świecie, oprócz związku duszy ludzkiej z pięknnością świata. Istnieją rozbiory dosięgające najtajniejszych zakątków duszy, a omijające ten spomiędzy nich tylko, w którym przebywa zachwyty. Istnieje wiedza o wszystkich stosunkach zachodzących pomiędzy ludźmi a przyrodą, oprócz jednego tylko z tych stosunków, którym jest — miłość”. I nic wcale dziwnego, że szkoły dzisiejsze, zwrócone poważnie ku praktycznej stronie życia, zadanie to pomijają. Tym bardziej powinien spełniać je wychowawca tego, co właściwie jest duszą człowieka, czyli uczucia.

Duszą? Czyliż uczucie jest duszą człowieka? Tak. A rozum? Rozum to lampa, która oświetla świątynię, wówczas drogocenna i pożyteczna, gdy w świątyni są ołtarze. W braku lampy ludzie bardzo łatwo mogą brać bałwany za obrazy bóstwa, a obrazy bóstwa lekceważąco omijać jak bałwany; lecz w braku ołtarzy lampa płonie nadaremnie, bo przy jej blasku wszyscy mogą spacerować po świątyni, lecz nikt się nie modli...

Czyliż nie spotykaliście na świecie takich maszyn z postacią ludzką, które są bardzo rozumne, które umieją bardzo doskonale rachować i spekulować, ziemię uprawiać, domy budować, spraw przed sądami bronić i wszelkie inne prace, tak zwane zawodowe, wykonywać, które są nawet zdolne kochać rodzinę, bo to ich rodzina i im pewną sumę rozkoszy lub dogodności przynosi, lubić kolegów, bo im z nimi wesoło, jeździć po świecie, bo to ich ciekawość i upodobania zadawalnia i tak dalej? Niemniej ze wszystkimi uzdolnieniami swymi zawodowymi i innymi są to maszyny i jeżeli nie chcecie daremnie czasu i uwagi tracić, nie upatrujcie w nich ręki, która pracę ku celom nie tylko swoim kieruje, ani oczu, które łzą zajęć mogą nad bólem nie swoim, ani ust, które zdolne są wyrzec na siebie słowo potępienia, jeżeli ono komuś lub czemuś zbawienie przynieść może. Nie mówcie też im ani o zachwycie i uwielbieniu, ani o poświęceniu, ani o tym gniewie, który powstaje z miłości nie- osobistej, ani o tej miłości, która wszystkie gniewy osobiste przerabia na przebaczenie. Nie opowiadajcie im dramatów wstrząsających sercem, bo one ich znudzą, ani krzywd wołających o pomstę do nieba, bo ich nie zrozumieją. Nie czytajcie im poematów, bo nazwą je głupstwem, i nie dawajcie polnego kwiatu, bo rzucą go pomiędzy śmiecie. Nie spodziewajcie się przerazić ich wskazywaniem damoklesowych mieczów, które wiszą nad ich rodem, bo odpowiedzą: *après moi le déluge*. I nie mówcie przed nimi z miłością

O matce, bo zaraz wyliczać poczną: ile pudów złota zawierają korony zdobiące głowy innych matek; a jeżeli utrzymywać będziecie, że tę kochać należy właśnie dlatego najbardziej, że uboga — zaśmieją się odpowiedzą: „Okręt z głupimi utonął.“

Powiadacie, że takich ludzi jest bardzo niewiele? Gdyby dwóch tylko było, już by świat bez nich obejść się mógł wybornie. Lecz obejrzcie się dokoła, niezbyt starannie nawet, owszem, naprędce, byle tylko uważnie, a ujrzycie ich legion. Są to w postaciach ludzkich maszyny. Nawet mowa pospolita, wiedzona instynktem trafnym, ma dla nich nazwę: ludzie bez duszy. Słabym urodziło się i zaniedbanie uległo w nich to, co jest duszą człowieka — uczucie.

Słabym urodziło się i zaniedbanie uległo. Częściej drugie niż pierwsze. Często kalectwo wynika z braku gimnastyki. Jak ciało tak i duszę, aby nie uległa zanikowi, gimnastykować trzeba. Częścią tylko, ale bardzo ważną, tej gimnastyki są wrażenia, które młoda dusza od świata zewnętrznego otrzymuje. Teorie najmędrsze i najpiękniejsze nie mogą zastąpić wrażeń. Wrażenia są jak zarzewia, które zapadają w głąb ustroju duchowego i przysypane złotą lub brudną kurzawą życia gasną tylko na pozór. Gasną na pozór, lecz byle podmuch rozpalają się znowu i w niejednym momencie chłodu lub słoty — mogą ogrzać, oświecić, może zbawić...

Przede wszystkim nie należy szukać widoków i zjawisk nadzwyczajnych, olśniewających, zdumiewających. Nie przez olśnienie i zdumienie droga wiedzie do ukończenia, lecz owszem, przez słodkie i pełne ufności współżycie. Dziecku, i nawet pacholęciu nie trzeba Himalai, Niagary ani Amazonki, bo podniebienia jego nie stępiło jeszcze używanie i nie po to wprowadzacie je pomiędzy zjawiska przyrody, aby świetnym o nich opowiadaniem podbijało salonowe Desdemony. Bez bajecznych drzew grających i ptaków gadających obejść się można, a raczej można znaleźć i dziecku wskazać w zwyczajnych drzewach i ptakach to jądro prawdy, dokoła której poezja osnuła przedzę bajki.

Nie tylko każde drzewo i każdy ptak najzwyczajniejszy, ale wszystko, co istnieje w przyrodzie, gra i mówi; tylko tę muzykę i tę mowę trzeba słyszeć i młodą duszę ku nim obrócić, aby je słyszeć mogła. Powiadają niektórzy: „ziemia nasza tak uboga w piękność, tak mało wspaniałych widoków znaleźć na niej można. Co innego Szkocja, Hiszpania, Brazylia, Wyspy Karolińskie, Kuba, Madera, królestwo Kongo“. Wielka płytkość sądu i nieznajomość rzeczy. Piękność i wspaniałość objawiają się w sposób bardzo rozmaity, ale gdziekolwiek jest przyroda, tam w tych lub innych objawach one są także. Przyroda jest twórczynią tak nieskończenie płodną, że każdą piędź ziemi okrywa mnóstwem kształtów i barw ułożonych w kombinacje najrozmaitsze. Jest ona także mistrzynią prostoty w pięknie i wspaniałości w tworach drobnych. To samo dziecko, które na łące radowało się szczawiom czerwonym, powojom pachnącym, krętej strudze wody i długonogiemu bocianowi — płynąc łódką po skromnym Niemnie, obrazem jego napełniało oczy zachwycone. Cóż widziało? Rzeczy proste: w południe letnie błękit nieba i wody, rozmigotane od iskier sypiących się z upalnego słońca, drzewa nadbrzeżne, rozśpiewane od głosów gnieźdzącego się w nich ptactwa, łąkę nadbrzeżną, rozpromienioną od złotych w świetle słonecznym jaskrów. W wieczór letni woda przybierała barwę ciemnej stali, poplamionej bladym srebrem; drzewa na brzegu tak wysokim, że zdawały się

gwiazd dotykać, szumiały tak, jakby z gwiazdami rozmawiały; od nadbrzeżnych piasków leciały wonie mięty i cząbrku. W rano jesienny nad wodą stały mgły białe jak mleko, tak gęste, że zasłaniały wszystko: niebo, drzewa, piaski, łąkę; a łódka mknąca wśród nich po wodzie wydawała się czarną muszką uwięzioną w mlecznym przestworzu, które przecież z jednej strony różowieć wkrótce zaczęło. Było to tak, jak gdyby kto za taflą szkła mlecznego zapalał czerwone płomień, coraz szersze, coraz gorętsze, aż wybuchnęło czyste, silne, jaskrawe złoto wschodzącego słońca, przed którym mgły jak woale już niepotrzebne rozdarły się na szmaty i ciężko powlokły się w strony różne, tu złotem słońca przeniknięte, tam zaróżowione przez nie zgasłe jeszcze blaski jutrzeńki, ówdzie gęstniejące w cielsko szarej chmury. Wszystko to — czym było? Niczym nadzwyczajnym. Woda, gwiazdy, drzewa pełne ptactwa, łąka pełna jaskrów, zapach mięty, mgły białe, jutrzeńka, wschód słońca. Ani szczytów niebotycznych, ani skał ponurych, ani grzmotu wodospadów, ani orłów, lampartów, mew i orchidei. Same rzeczy proste, codzienne, swojskie, które są wszędzie. Jednak dziecku, które na nie patrzyło, wpadły one przez oczy do serca i tale w nim trwały, że potem w mieście wielkim, pomiędzy dzieła sztuki malarskiej wprowadzone i na jednym z obrazów rzekę ujrzawszy, jak do modlitwy ręce spłotło i z płomieniem na twarzy zawołało: „Niemen!“ Był to okrzyk miłości. [...]

Niedawno także przechadzałam się po ogromnym lesie z pewnym znawcą przyrody, bardzo biegłym, i który zarazem posiada rzut oka na nią, kochanka i artysty. Tam otaczały nas zjawiska potężne i niezwykle, pośród których przecież raz towarzysz mój pochylił się, podniósł z ziemi i podał mi rzecz bardzo drobną. Był to spadły z drzewa liść osiny, duży, okrągły, ząbkowany, z zieloną powierzchnią, gęsto osypaną mnóstwem drobnutkich i zupełnie jednostajnych kropelek rosy. Istny klejnot lasu. Żaden jubiler nie potrafi takiego ze szmaragdu i pereł wykonać. Były to perełki najczystszej wody, przelewające blaski tęczowe, na tle szmaragdowym. Było to misterne, subtelne, świeże i świetne. Dziecko — nie tamto już, ale inne — drobiazg ten w rękę ojca ujrzawszy, spłotło rączy i ze wzrokiem olśnionym zawołało: „Jakie śliczne!”

Czy być może? Kropla rosy, która wśród porannej ciszy lasu pierwsza spomiedzy miliarda, przy dalekim odgłosie wystrzału, spada z drzewa na ziemię; liść osiny, podjęty z dna lasu i osypany mnóstwem tęczowych perełek, toż to drobiazgi, zjawiska, którym na imię — gmin. Niezawodnie, lecz przyroda jest mistrzynią prostoty w pięknie i wspaniałości w rzeczach drobnych; tylko, że aby to odkryć, trzeba patrzeć na przyrodę okiem artysty i kochanka. Artystą nie każdy może być, lecz zdolność do kochania spoczywa w ogromnej większości dusz i zanikowi ulega z braku gimnastyki, która tu, jak zdaje się we wszelkich innych działach, nie zależy na skokach olbrzymich i koziołkach karkołomnych, a przynajmniej nie od nich rozpoczynać się powinna. Naszą ziemię przyroda oplata koronką, której każde oczko jest arcydziełem i każdy cal zbiornikiem wzorów subtelnych i rozmaitych.

Lecz aby poznać się na tej koronce, trzeba mieć wzrok do patrzenia na nią zaprawiony. Trzeba wiele patrzeć, aby umieć patrzeć, i ten tylko, kto umie patrzeć, widzi. Dziecko musi wiele patrzeć, aby nauczyć się widzieć, musi umieć widzieć, jeżeli ma kochać. Ktokolwiek, rojąc o Wyspach Karolińskich i królestwie Kongo dziwy nadzwyczajne, zaniedbuje krzesać w dziecku miłość dla przyrody rodzimej, bo złożoną jest ona z drobiazgów zwyczajnych, nie tylko usuwa młodą duszę od źródła wielkiej i dobroczynnej słodyczy, lecz co ważniejsza, pozbawia ją na przyszłość jednej z sił czy jednego z oręży w walce z wrogimi pierwiastkami życia. Dusza ta będzie — jak ten, kto — wcześniej osierociały nie zna, więc w pamięci i sercu nie nosi — oblicza matki.

To jedno. A drugie: nie poprzestawać na wrażeniu sprawianym przez całość krajobrazu, lecz zaznajamiać ze składającymi go szczegółami, rozkładać ogół na szczegóły, z tłumu zjawisk wydobywać, wyplątywać zjawiska pojedyncze i ukazywać właściwości ich osobnikowe, słowem, niejako rozosobnikowywać przyrodę. To za mało jeszcze, gdy dziecko z zajęciem patrzy na grupę drzew albo z przyjemnością spocznie w ich cieniu; to lepiej, niż gdyby wcale ich nie widziało, bo pozostanie mu po nich wspomnienie, lecz za mało, bo to wspomnienie będzie blade i ogólnikowe.

Przypominamy sobie czasem twarz jakąś, niegdyś widzianą i która sprawiła na nas wrażenie miłe, lecz nie zapamiętaliśmy pojedynczych jej rysów, nie przypatrzyliśmy się urozmaiconej grze tych rysów, nie spoufaliliśmy z nią wzroku tak, aby wiedzieć, kiedy i w jakie kierunki układają się linie, słowem, nie żyliśmy się z tą twarzą, nie mówiliśmy jej nigdy, jak bliskiej znajomej: „jak się masz!” i „bądź zdrowa”, więc też i obraz jej przelatuje nam tylko niekiedy przez pamięć, niewyraźny, mało indywidualny, znika szybko, powraca nieprędko. Nic trwałego w takich niknących obrazach nie ma; uczucie odżywia się nimi słabo. Co innego, o jakże co innego! gdy wspomnisz o przyjacielu, z którym wiele godzin, wiele wieczorów przesiedziałeś przy lampie albo kominku, ucząc się po-znawać każde drgnienie jego powiek, każde błysnięcie oka i schmurzenie czoła, każdą linię zakreślaną przez uśmiech lub poruszenie ramienia! Kiedy o takiej postaci przyjacielskiej, poufałej, w każdym rysie i poruszeniu dobrze znanej, pomyślisz, odczuwasz zaraz nic która wiąże serce twoje z nią i z godzinami, które ci wobec niej upływały, miłość, którą niegdyś miałeś dla niej, i tęsknotę, która przez rozłóg przestrzeni i czasu błogosławieństwo twoje ku niej prowadzi...

Znajdujesz, że ta grupa drzew pięknie i nawet wspaniale zarysowuje się na tle nieba, że cień jest dla uzojonego czoła, a szum dla ucha jest przyjemnym. Tak, to prawda. Lecz każde z drzew składających tę grupę należy do innego gatunku i posiada swoją odrębną indywidualność. Te nawet, które jedno mają pochodzenie, są jeszcze osobnikami odrębnymi, różniącymi się od innych wzrostem, wiekiem itp. Ale poprzestając na gatunkach, pójdz i przynieś mi po jednym listku z każdego drzewa... Widzisz, jak są rozmaite: wszystkie zerwane z drzew podobnych



do siebie, a każdy zupełnie odmienny od innych. Ten wąski, długi lancetowaty, do jęczyczka, a czasem do zakrzywionego nożyka podobny — to liść wierzby, który w jesieni przybiera barwę brunatną, ciemno odbijającą na jasnej żłocistości brzoź, których liść widzisz? — wcale to inny: posiada dość regularny kształt serduszka z wierzchołkiem zaostrzonym i dokoła wycięty jest w drobne, delikatne ząbki. A ten ząbkowany także, ale okrągły, niby pękaty, zerwałś z osiki, patrz, jak drżącej, obok sąsiadów zupełnie nieruchomych. Wiatru całkiem nie ma, jednak okrągłe i ząbkowane liście osiki drżą nieustannie i z przyczyny sposobu, w jaki u ogonków są osadzone, tak samo drzeć będą i wtedy, gdy we wrześnieowym słońcu przyoblecze je purpura, kładnąca gorące smugi na cielistą barwę jesionów i wiązów. Ten liść wielki, pierzasty, czyli z obu stron głównego nerwu na kilka palczastych działłów rozcięty, jest jesionowym, a tamten mający linie we wdzieczne półokrągłości wygięte i powierzchnię bardzo misternie i gęsto pręgowaną, pochodzi z wiązu. Ten lipowy... albo lepiej tamten — klonowy... Ale dość już patrzeć na liście, wsłuchajmy się teraz w szumy drzew. Bo nie wier w to, że jest szum drzew, lecz przekonaj się, że są ich szumy. Każde drzewo szumi inaczej; sosny huczą basem bardzo głębokim i czystym; basowe także, lecz o parę tonów wyższe i papierowym Szelestem mącone są gamy lip; brzozy zaś szemrzą delikatnie i głucho, osiki jak strumień metalicznie dzwonią, a w klonach słychać klekot uderzających o siebie liści, który u sokorów wzrasta do łopotu skórzanych skrzydeł... Orkiestra. Ktoś kiedyś bacznie się w nią wsłuchał! i wymyślił bajkę o grających drzewach. Jądreem bajki jest prawda. Drzewa grają i kto się na tej muzyce zna, ten z zamkniętymi oczyma rozpozna każde — po głosie.

Ale i woda czasem mówi i gra. Stoimy nad wielkim jeziorem, objętym w półkrąg lasu. Płachta wody, którą pogodne niebo napełnia czystym szafirem, pomarszczona w drobne fale, z których każda, wciąż na jednym miejscu kołysząc się i uderzając o sąsiednią, przy każdym zakołysaniu się błyska złotą iskrą. Po całej tej przestrzeni, ruchomej i rozmigotanej, płyną głosy, zupełnie gdzie indziej nieznanne, ciągle i zrazu sprawiające wrażenie monotonii, lecz wsłuchajmy się w monotonię pilnie i długo, a wywikłamy z niej wiele tonów rozmaitych. Jest to pluskanie fal z siłą bardzo nierówną, dla przyczyn zależnych od wiatru, dna, przestrzeni dzielącej z brzegiem i tym podobnych. Kołyszą się one i uderzają o siebie prędzej lub powolniej, silniej lub słabiej, i od tego nabierają głosów coraz innych. W jednym miejscu podobne to jest do mowy gwałtownej, pełnej namiętnych wybuchów i przerw, w innym — do szeptu nieśmiałego, tak cichego, że ledwie dosłyszeć go można; tam jeszcze przypomina się swarliwe i nie mające przerwy ni końca gderanie, a ówdzie prośba miłosna szepem słodkim wypowiedana i przerywana westchnieniami. Czasem fala pluśnie krótkim śmiechem, który nawet tonie w cichym i smętnym szmerze, a odpowiada jej z dala coś podobnego do zapytania lub krótkiego załkania lub wykrzyku gniewnego, który ginie w gwarze. Bo jest to gwar. Jest gwar rozmowy prowadzonej przez różne głosy i niekiedy otrzymującej akompaniament

muzyczny. Bo co to za dźwięk metaliczny wydobyl się z wodnego przestworza? Może tam na dnie w wiecznym ruchu swoim woda o kamyki uderza lub co innego się dzieje, lecz dźwięki metaliczne dobywają się z niej to tu, to ówdzie, bliżej, dalej, słabsze, silniejsze, krótkie, przeciągłe, jak na różnych miejscach i z nierówną siłą potracane struny harfy podwodnej. Jezioro gra. Szafirowe fale ze złotymi oczyma, wciąż na jednym miejscu kołysząc się i wzajem o siebie uderzając, rozmawiają przy wtórze muzyki... [...]

Ale oprócz tych pól, na których dojrzewają owsy z bławatkami i gryki z różową podszewką, istnieje drugie jeszcze pole, wysoko umieszczone, w kształt sklepienia nad ziemią zawieszone, błękitne i usiane kwiatami, a dokładniej mówiąc, diamentami obłoków. Tu, oprócz barw i kształtów są jeszcze blaski. Jakie blaski? Wszystkich w świecie metali i drogich kamieni. Jakiś snycerz-olbrzym wyrzeźbia i wykuwa na błękitnym polu postacie aniołków i potworów, skały, góry, obronne zamki, cudne profile niewieście, strojne w hełmy i pióropusze głowy rycerzy, ptaki, puchary, sarkofagi, stada zwierząt wełnistych i roje skrzydlatych motyli. Potem z kolei jakiś jubiler-mistrz snycerskie swe roboty złoci, srebrzy, okrywa miedzią, stalą, ołowiem, obrębia purpurą, przepaja blaskami wszystkich kruszców i diamentów, aż na koniec jakiś pasterz-atleta, w miech dmuchając, cały ten tłum różnoplemienny łączy, rozłącza, stapia, przetapia, skupia, rozpędza i czynią się z tego na błękitnym polu gonitwy, turnieje, metamorfozy wzorów i powtórzenia wszystkich znanych świata barw, kształtów i blasków.

Ale powie kto może: wielka rzecz, że niebo jest piękne! Więc powróćmy na ziemię i posłuchajmy rozgłośnych chórów, którymi skowronki wybuchają z dojrzewającego zboża, świerszcze z traw oblanych rosą lipcowej nocy, żaby z sitowia zarastającego brzeg sadzawki. Zatrzymajmy się na chwilę u brzegu rzeki i popatrzmy na jaskółki, które nad żółtymi kwiatami grzybieniu latają, szukając żeru, szybko, szybko i ciągle w kółko, a wierne odbicie ich w wodzie sprawia, że widzimy na raz dwa stada jaskółek, jedno nawodne, a drugie podwodne.

W zimie... Cóż jest w zimie? Niby nic, odłam z drzewa suchą gałązkę, szronem okrytą. Nic to jeszcze, że szron na drzewie wygląda jak koronka z alabastru i brylantów. Przypatrz mu się z bliska. Widzisz, jakie to są piórka niesłychanie delikatne? Każde włókienko ich — pajęczyna srebrna, każdy atom — brylancik...

Liść czy gniazdo, kwiat czy kamyk, perła czy fala: przyroda cała jest pięknnością.

\*

Zapoznanie się z przyrodą rodzinną w jej objawach pospolitych i indywidualnych zadzierzguje pomiędzy nią a duszą młodą nici i węzły, które mowa powszednia wybornie nazywa przywiązaniem. Nic tu nie ma godnego pogardy i lekceważenia, nic takiego, na czym nie warto byłoby zatrzymywać wzroku dziecka, aby wraz ze wzrokiem spoczęło na tym jego serce. Od czarnej grudy na zagonie do złotego



obłoku pośród błękitów niebieskich, od żaby skrzeczącej w stawie do słowika śpiewającego w kwitnących bzach, od komara brzęczącego nad wilgotną łąką do jastrzębia wążącego się nad wierzchołkami boru, od lichego muszotrzewku<sup>18</sup> do olbrzymiego dębu, od źdźbła mchu do piórka szronu, od gładkiej murawy do gromowej chmury, od kłosa pszenicy do liścia pokrzywy, od strumyka, który wydaje się żyłką ziemi, do jeziora, które jest jej cichym wymownym okiem, wszystko ukazać mu trzeba, ze wszystkim je spoufalić, do wszystkiego mocą zachwyty i wspomnień przywiązać, bo każde z tych zjawisk to jeden z rysów oblicza jego matki.

[E. Orzeszkowa, *Oblicze matki* (1899), w: tejsze, *Drobiazgi*, t. II, red. J. Krzyżanowski, *Pisma zebrane*, t. LII, Książka i Wiedza, Warszawa 1952, s. 361-378]